**VEDBENDER**

**OSTATNI PISARZ**

Taksówka cicho osiadła na chodniku. Wysiadł, zatrzasnął drzwi, a wtedy automat poderwał się i zniknął za rogiem budynku. Ruszył w stronę witryny. Zebrało się przed nią kilkunastu ciekawskich, co Milana zupełnie nie dziwiło: ostatnia księgarnia w Quatrocity, z ostatnią papierową książką do kupienia.

Niewielkiemu zgromadzeniu (kogo w dzisiejszych czasach stać na oldschoolowy relikt mijającego stulecia?) przyglądała się dwójka policjantów i trzy kursujące nad radiowozem drony. Od czasu zakończenia procedur Przejścia nader wszystko obawiano się niepotrzebnych zbiegowisk. Umieszczone na skafandrach funkcjonariuszy czujniki i bystre oka latających machin zmierzyły wszystko i wszystkich wkoło (Milan nie był wyjątkiem, mimo że zajmował się niepolityczną działalnością). Sczytały dane z twarzy, przyporządkowały do wypisanych na nich emocji i przypisały nastroje do odpowiednich kategorii.

Podszedł do wystawy i spojrzał na stojącą na podeście niczym muzealny eksponat, jedną z ostatnich autentycznych, książkę Garego Baryona „Zakazane miasto snu”. Nie dość, że wydano ją jeszcze na papierze, to napisana została przez człowieka (Milan to sprawdził: autor zmarł trzydzieści dziewięć lat temu, tuż po Wielkiej Zmianie). Nie zdziwiła go więc astronomiczna cena punktów, które za zdobycie książki musiałby zapłacić jakiś szaleniec.

Obserwujący aukcję pokręcili głowami. Kolory ich płaszczy konwertowały się co chwilę, jakby chciały nadążyć nad zmieniającymi się co chwila modowymi trendami. Część rysowała barwne wzory reklam, inne tylko, zagubione w chaosie informacji, nerwowo migotały odcieniami. Powoli tłum się rozstępował. Pod sklepową witryną pozostał Milan i jeszcze jeden mężczyzna o smutnym spojrzeniu.

– Mam wrażenie – stwierdził znienacka – że papier jest cenniejszy niż wydrukowane na nim słowa.

– Gdyby księgarnia sprzedawała rolki papieru, zarobiłaby na tym krocie.

– Kupiłbym zwykłą kartkę tylko po to, by poczuć jej zapach.

– To pan się ze mną komunikował? – zapytał Milan.

– Tak – mężczyzna spojrzał mu prosto w oczy swymi nieziemsko brązowymi oczyma. – To ja jestem ostatnim pisarzem.

\*

Pokój Ernesta, ostatniego pisarza, wyglądał jak pokój ostatniego pisarza, to znaczy gdyby kiedykolwiek ktoś zapytał Milana, jak powinien prezentować się taki pokój, to właśnie tak by go Milan sobie wymarzył i tak opisał: ciasny i zakurzony, skąpany w promieniach słonecznych, w których tańczące pyłki kurzu rozpraszały światło na migoczące półcienie. Ściany pokryte półkami uginającymi się pod ciężarem książek, poukładanymi w zmyślny, niewątpliwe skomplikowany i znany tylko ich właścicielowi sposób. Z boku, przy oknie zasnutym roletą, stał poszczerbiony fotel pamietający odległy XX wiek i stolik również pokryty pozornym bałaganem okładek. Przy parapecie dumnie błyszczała jedyna w pokoju wolna powierzchnia biurka, na którym stały czujniki do pisania oraz plastikowa lampa w stylu ikea-retro (Milan sprawnym okiem ocenił ją na lata dwudzieste mijającego stulecia).

Krzesło, na którym usiadł Ernest, dopasowało się do kształtu jego pleców. Biurko rozbłysło ikonami wyświetlanymi w przestrzeni, zasypując go pytaniami o sprawy najistotniejsze (począwszy od „jak się czujesz?”, „czy chcesz czegoś do picia?” po „czy nie sądzisz, że dziś jest wyjątkowo piękna pogoda?”), o to czy nie chciały spędzić kilku chwil na sympatycznej rozmowie na dowolny temat z wybraną przez siebie osobą z virtu-shell, a następnie nienachalnie przypominając o konieczności uzupełniania zapasów w niezbędne produkty zawierające białko, których brak od dwóch dni sygnalizowała lodówka. Mężczyzna zignorował wszystkie powiadomienia machnięciem ręki, a wtedy aktywowała się klawiatura, rozrzucając litery wokół jego palców. Warowały jak wierne psy, czekając aż ich pan ułoży je w słowa i zdania. Ernest strącił je z siebie.

– Niestety nie mogę poczęstować pana kawą – powiedział, wskazując Milanowi wolne miejsce w fotelu na przeciwko. – Nie stać mnie na nią.

– Nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio mogłem sobie na nią pozwolić. To najcięższy dla mnie skutek zmian klimatycznych. Nie żałuję ani skompromitowanych naukowców i polityków, ani zalanych miast i zniszczonych zabytków. Najbardziej brak mi kwaśnego smaku espresso – zaśmiał się.

– A zatem wody? – Milan podziękował.

– Wie pan – Ernest spojrzał na swoją biblioteczkę – wszystkie to wydania cyfrowe, same okładki, w środku literalna pustka. Nie dysponuję żadną prawdziwą książką, czyż to nie przerażające? Czytałem je oczywiście w formie elektronicznej, ale jednak to nie to samo.

– Nie mówi pan niczego nowego. Czyż to nie straszne?

– Tak upada cywilizacja pisma.

– Od dawna już o tym nie myślę. Moje palce pamiętają jeszcze dotyk kartek i staram się hołubić te wspomnienia.

– Zazdroszczę. Urodziłem się w świecie zdominowanym przez pliki i weby. – Ernest oparł głowę o pięść. – Ile książek ma pan w domu? Jeśli można zapytać.

– Tych prawdziwych? Szesnaście, ale od razu uprzedzę pańskie pytanie – piętnaście to spadek po ojcu, szesnastą rzeczywiście sam kupiłem za bezcen.

– Wywołuje pan u mnie poczucie pustki.

– A mimo to umówił się pan ze mną pod tamtą księgarnią. Spodziewał się pan być świadkiem zakupu?

Ernest wzruszył ramionami. Dla odmiany popatrzył w okno.

– Potrafi pan odróżnić tekst pisany przez człowieka od matematycznego wyniku działania algorytmów? – zapytał po chwili milczenia.

– Muszę to robić jako wydawca. Niestety – znów się zaśmiał. – I za każdym razem czuję wielki zawód. Nawet najlepszy program nie jest w stanie powtórzyć człowieczej wrażliwości, zachłysnąć się olśniewającym widokiem krajobrazu, opisać zapachu jaśminu ani smaku pierwszej wiosennej truskawki. Żaden algorytm nie wie, co dzieje się w chłopaku, który po raz pierwszy całuję swą wybrankę.

– A zatem obaj należymy do ginącego gatunku romantyków.

– Ale to pan jest pisarzem. A przynajmniej za takiego się pan podaje.

– Nie ma już prawdziwych pisarzy, wszyscy nie żyją. Czasami mam wrażenie, że tylko dzięki śmierci ich twórczość przetrwała, jakby to śmierć umościła ich dusze w sercach czytelników.

– Pan jest bardziej melodramatyczny niż ja. – Milan świetnie się bawił. – Stąd niedaleko do megalomanii. Ale mam lepszą propozycję – proszę przed zgonem napisać coś fenomenalnego. Co pochodzi od pana, rzecz jasna, nie od jednej z setek tysięcy aplikacji. Musi się pan spieszyć. Ciągle udoskonalają algorytmy.

– Już prześcignęły najlepszych.

– Chciał mi pan coś pokazać – wydawca go pospieszył, co podziałało na Ernesta pobudzająco. Wysunął szufladę i wyjął z niej tablet. Bez słowa wręczył go Milanowi.

– Zanim przeczytam to, co pan tu powymyślał, chcę, żeby pan wiedział, że nikt już nie pisze, bo nikt nie chce wydawać współczesnej pisaniny – Milan patrzył na Ernesta i starał się mówić jak najbardziej dobitnie. – To nieopłacalne. Ludzie wolą nieskomplikowane historie. Nikt nie chce grzebać się w zawiłościach umysłu człowieka. Od tego są suplementy i virtu-shell. Żyjemy w świecie błogostanu, nie pamięta pan? To powtarzają nam nieustannie rządzący i mam wrażenie, że udało im się to nam wreszcie wmówić. Nikt nie chce czytać smętów o nieszczęśliwych miłościach, rodzinnych dramatach i kłopotach z tożsamością narodową. O czym więc pisać? O wymarciu krzewów kawy?

– Proszę zerknąć chociaż na początkowy rozdział – Ernest z widocznym zakłopotaniem podrapał się po czuprynie. Milan zgodził się i wygodniej umościł w fotelu.

Pierwszy akapit przeniósł go w światy dotąd mu znane jedynie z dzieł dwudziestowiecznych pisarzy. Potem jednak styl Ernesta uległ przedziwnej metamorfozie, a zdania zaczęły budować w umyśle wydawcy barwy, dźwięki i zapachy niezwykłe. Łapczywie łapał linijki tekstu, smakując je z coraz większym apetytem. Zanim się obejrzał, przemierzał miasto z dwójką bohaterów, patrzył ich oczyma w niebo i zastanawiał się nad sensem konfliktu, który przetaczał się przez ernestowski świat.

Porzucił powieść na chwilę. Drżąc z podniecenia podłączył tablet do swojego telefonu i zeskanował plik. Wstrzymał oddech na chwilę… Wynik go nie zdziwił – tekst był unikalny pod każdym względem. – Pan umie pisać, Erneście.

Pisarz nie odpowiedział. Tymczasem wydawca już wgryzał się w kolejne strony jak dziki zwierz w mięso swej ofiary. Książkowe postaci podejmowały błędne decyzje, kierowały się namiętnościami, darły serca z rozpaczy, a wraz z nimi umierał świat. Milana ogarniał bezgraniczny smutek, by po chwili, dzięki tylko kilku frazom, wydobyć go z samego dna i pokazać mu brzask świtu. Miotały nim skrajne emocje, od zachwytu po czeluść rozpaczy, rozlatanymi dłońmi przesuwał palcami stronę za stroną, aż dotarł do ostatniego rozdziału i ostatniego akapitu.

Nie potrafił wydobyć z siebie słowa.

– Wyda pan moją książkę?

Milan smutno popatrzył w okno i opuścił głowę.

– Nikt nie uwierzy, że napisał ją człowiek – wyszeptał.

– To niedorzeczność! – Ernest poderwał się na nogi. – Opublikujecie wynik skanów, jakieś wywiady, zrobicie mi zdjęcia, nawet tu, przy biurku…

– Niech pan nie będzie śmieszny. Czy ktoś jeszcze wierzy fotografiom? Dziennikarzom? Vlogom? Presley wydaje nową płytę, Hemingway nową książkę, a Meryl Streep w najnowszym filmie znów ma trzydzieści lat. Nasza rzeczywistość, panie Erneście, to fikcja. Dobra powieść to matryca zapełniona znakami graficznymi.

Ernest opadł na krzesło.

– Nikt nie zajmuje się już literaturą, bo stała się łatwostrawną papką. A stało tak dlatego, że jest na nią zapotrzebowanie. Nawet gdyby algorytm chciał, że tak się wyrażę, pochylić nad sensem życia, niewielu chciałoby zapoznać się z owocem jego rozważań. Bo czy komputery nie potrafią marzyć o elektrycznych owcach? Owszem, ale okazało się to nieopłacalne. Pańska książka wywołałaby może i krótką sensację, ale wcześniej czy później uznano by ją za powtórzenie spisanych kiedyś myśli i zdublowanie poznanych dawno znaczeń. Kryje się w nas wiele grzechów, a ludzka zawiść króluje ponad innymi. Wie pan, jakby się to skończyło? Ogłoszono by, że to dzieło najnowszej generacji oprogramowania, sukces mojego wydawnictwa i dziesiątek skrupulatnie pracujących dla mnie cyfroplanistów. Nikt by nie wierzył w pana istnienie.

– Pozostaje mi zatem strzelić sobie w łeb.

– Niech pan nie będzie sentymentalny.

– Nawet miałem tu gdzieś starego Smith & Wessona…

– Dobrze, wydam pańską powieść, ale bez nazwiska na okładce. Tak jak wydaję wszystkie inne książki. Drugiej opcji nie ma i proszę nie próbować w innych oficynach. Jak pan wie, w większości są to firmy cyfrowe, a jedyną osobą, która posiada tam prawdziwe serce, to cieć, który ściera kurz z serwerowych pudełek. A teraz żegnam pana – Milan podniósł się z fotela i ruszył ku drzwiom. Próbował uścisnąć dłoń Ernesta, ale pisarz stał jak oniemiały. Wyglądał jak zamrożony robot, wyłączony android. Dobrze, że technologicznie ludzie nie byli zdolni do tworzenia idealnych sobowtórów człowieka, choć z pewnością, pomyślał smutno wydawca, była to tylko kwestia czasu.

– Do widzenia – powtórzył i gdy miał już przekroczyć próg, kątem oka dostrzegł za sobą ruch. Odwrócił się i zobaczył, że Ernest wyszedł z pokoju, stanął w korytarzu i trzymał przy skroni zabytkowy pistolet. Zanim Milan zdążył cokolwiek powiedzieć, padł strzał.

Huk i błysk poraziły jego zmysły. Siny dym zawirował w powietrzu i wysoka jakość tej sceny, epickiej i doskonałej literacko, wyśmienitej w pikselowych niemal szczegółach, ale jakże krótkiej i płochej, wywołała w myślach wydawcy istną kakofonię okrzyków, burzę kolorów i gwałtowny przypływ euforii. Była to w istocie śmierć piękna i teraz z pewnością książka się sprzeda, tylko trzeba szybko czmychnąć do pokoju i zabrać tablet z plikiem, nie zapomnieć włączyć systemu alertowego, niech stosowne służby zajmą się ciałem; no i jeszcze ten rozgrzany gadżet, który tak teatralnie upadł obok; mój boże, kto jeszcze trzyma broń palną w domu; musi mieć ponad sto lat, jeśli nie więcej; ładny gamoń był z tego Ernesta; pewnie czyścił go codziennie i delektował się jego metalicznym posmakiem; a teraz jeszcze ten onieśmielający zapach prochu; i znów pociemniało mu w oczach, bo przecież nigdy nie widział śmierci człowieka; była szczytem artyzmu, przerażająco podniecająca, bo prawdziwa, jakże filmowa; czy nie powinien łyknąć suplementu; że takie myśli mu przychodzą do głowy i ciało leży teraz na ziemi nieruchome i Milan naciska przycisk, zaraz tu będzie pomoc, bo przecież może jeszcze Ernest żyje, a on go tak szybko pogrzebał, ale przecież nie oddycha, nie jest możliwe, by przeżył, i ta krew, pełno krwi, zaraz, nie ma tu żadnej krw...

Milan upadł na kolana.

Z otępiałym wzrokiem patrzył na roztrzaskaną głowę Ernesta. W dziurze po kuli zamrugały do niego elektryczne iskierki, zabrzęczały delikatne łączenia nanomerów, zadrgały w ostatnim spazmie zwoje nanolinków. Przerwany eternalcord i roztrzaskany extensionstem wysyłały do źródła ostatnie impulsy. Oczy Ernesta straciły jasność i wyłączyły swój blask, zalały się czernią jak odłączony od prądu komputer.

Nic straconego, pomyślał wydawca. Każde dzieło ma swojego twórcę.